OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 2 Sierpnia 1865 roku.

Nr 31. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

TREŚĆ.—**Augustyn Spiski**, przez *Aleksandra Adamowicza*, (z portretem).—**Requiem**, Młodéj przyjaciółce, wiersz *A. E. Odyńca*. — **Córka Rzemieślnika**, powiastka obyczajowa, przez *Adama Wiślickiego*, (ciąg dalszy, z drzeworytem). — **Żegluga napowietrzna**, przez *Juljusza Starkla*, (z drzeworytem). — **Sosna**, przez *Józefa Grajnerta*, (z drzeworytem).—**O taksie**, przez *Adama Wiślickiego*.—**Rozmaitości**.

AUGUSTYN SPISKI.

Praca i zdolność uznanemi już od dawna zostały za najskuteczniejsze dźwignie pomyślności ludzkiéj. W życiu społecznem przykłady każdodzienne, oku naszemu przedstawiające się, wymownie nam tego dowodzą. Augustyn zaś Spiski, obywatel przed laty kilkunastu powszechnie znany w Warszawie, którego życiorys dajemy, jest właśnie jedną z osobliwości, wydatniéj nad inne wskazująca, do jakich rezultatów rozumna praca prowadzi. Dziecię ubogiéj rodziny, zamieszkującéj okolice Szkalbmierza, wykołysany i wychowany wśród graniczącéj z biedą mierności, w swéj woli i wytrwałości czerpał przedewszystkiem siły, do łamania się z twardemi warunkami okalającemi jego młodość. Rozmaitość stanowiąca najwybitniejszą cechę natury, odbiła się w przymiotach moralnych, w harcie ducha, objawiających się w życiu ojca i syna. Rodzic Augustyna, szlachcic szczupłéj fortunki, lecz tęgości, woli i przedsiębiorczości, posiadał jedynie poczciwość, ograniczającą się do biernéj roli, nie robienia źle. Syn, obdarzony niepospolitą potęgą woli i dzielności, niepoprzestawał na roli biernéj; użyteczną czynność postawił jako ideał swego bytu. Wkrótce po śmierci ojca, doprowadzonego w ostatnich latach życia, do zupełnego niedostatku, zagrzany pragnieniem przyjścia w pomoc matce i młodemu rodzeństwu; powziął śmiałą myśl szukania ku temu środków w Warszawie. Jedenasto czy dwunastoletni chłopczyk, bierze więc kij w rękę i opatrzony przez matkę błogosławieństwem, oraz jako cały zasób na drogę z czeskich kamieni kulczykami, jedyną pozostałą pamiątką lepszych czasów, puszcza się w daleką podróż. Nadzieja i wiara, ożywiająca słabe jeszcze fizycznie dziecię, doprowadzają je z kilku tylko groszami w kieszeni, do rogatek miasta, upragnionego celu życzeń. Pod wieczór je-



Augustyn Spiski.—(Rysował Polkowski—wyciął na drzewie Styfi).

sienny przebywa te rogatki, wchodzi w las domów, w zgiełk i zamęt, naturalny wynik większych zbiorowisk ludzkich. Na los szczęścia posuwa się wśród wiru go otaczającego. Nareszcie zmrok zapada, a wkrótce ciemna noc ogarnia miasto; znużony chłopczyk u podwoi Katedry S-go Jana, na kamieniach chodnika, szuka i znajduje spoczynek. Nazajutrz najpierwsza msza, już go zastaje u stóp ołtarza cudownego Pana Jezusa. Kornie schylona postać jego, i skupienie ducha malujące się w rysach, zwracają uwagę jednego z obywateli miejscowych, który po wyjściu z świątyni dźwięcznym głosem rzucił mu zapytanie: „A dokąd to idziesz mój mały?” Zapytanie spowodowane zajęciem się nieznajomego chłopczyną, wywołało inne objaśnienia dane, i zadowolniły widocznie badającego, gdyż w końcu wyrzekł: możebyś był u mnie, ja mam sklep korzenny i winny, za kilka lat możesz zostać człowiekiem, możesz być pomocnym matce; jeżeli będziesz dobrym, pracowitym i rzetelnym, to Bóg będzie ci szczęścił i ja z duszy pomogę; bo u nas w handlu tylko pracy i rzetelności potrzeba.

Pierwszy więc krok i nader ważny postawił nasz mały wędrowiec. Znalazł punkt oparcia, środek do utrzymania życia, a nawet więcéj, bo uzdolnienia się na pożytecznego w społeczności obywatela. Od jego tylko zachowywania się i pilności, zależało już teraz wyłącznie, zostać człowiekiem szacunek obudzającym, lub darmozjadem na poniewierkę wskazanym.

Rozwój następny jego życia wskazuje, którą z tych dwóch wybrał drogę, cztery lata ciężkiéj mozolnéj pracy jako chłopiec sklepowy przebył Augustynek, by w piątym wyjść już na subjekta, z płacą oprócz stołu i pomieszkania 1,000 złp. rocznie. Wiara i nadzieja, wsparte na potędze woli, rozsądku i ścisłem spełnianiu obowiązków, jak z jednéj strony znalazły uznanie, tak z drugiéj wyrobiły podstawę przyszłości, człowiekowi opierającemu swą działalność na ich stałym gruncie. W miarę zaś czasu posługującego do rozwinięcia i uwydatnienia owych przymiotów, rósł w szacunku współtowarzyszy, znajomych, a mianowicie pryncypała, który po kilku znowu ubiegłych latach, oddał mu cały swój handel w zarząd, a późniéj odstąpił mu go zupełnie.

Na Krakowskiem-Przedmieściu, niedaleko poczty, niedawno jeszcze istniał sklep korzenny, nizki, niepozorny, bez żadnych ozdób i wystawy, wewnątrz ciasny i zapylony. W nim to Spiski, przyjęty na chłopca, wyszedł na subjekta, zarządcę, a następnie właściciela. Ubogi nieznany chłopczyna, przybywa do wielkiego miasta; drżący z zimna i głodu, pierwszą noc przepędza na bruku, a już w lat kilkanaście staje się jednym z najzamożniejszych kupców owego grodu.

Wielu powie: szczęśliwy, los dał mu majątek, my odpowiadamy tak: jest, los, ale nie trafem pozyskany, lecz zabiegłością, pracą i rozsądkiem. Praca też i zdrowy rozum opromienione zacnością, jak nić złota w wełnianéj tkaninie, snuje się bez przerwy na kanwie życia Spiskiego. Życie to ciche, zamknięte w kółku powszednich spraw, z dnia na dzień dokonywanych, nie lśni błyskiem szeroko roztoczonym; jedno miasto jest ogniskiem działań Spiskiego, użyteczna zaś czynność z rzadką uczynnością i rozumną oszczędnością połączone — jednym tytułem do szacunku współczesnych i potomnych. Rozpatrując się też w jego życiu, przymiot oszczędności osadzony na piedestale pracy, musimy uważać za najznakomitszy czynnik pomyślności majątkowéj, do jakiéj dojść zdołał. Ponieważ zaś nieprzerwany związek istnieje w historji człowieka i ludzkości, ponieważ teraźniejszość znajduje podstawy w przeszłości, kilku chociaż rysami uprzytomnijmy owe życie.

Pan już krociowych dostatków, nie odstępuje od zwyczajów i działalności, w pierwiosnkach swego zawodu przyjętych i ściśle zachowanych. Pomimo znacznéj fortuny, będącéj jego udziałem, w szaraczkowym zużytym jak niegdyś surducie, stoi w sklepie, obok subjektów i chłopców, baczny na wszystkie żądania przybywających. Każde opóźnianie w załatwieniu kupującego, każda niedokładność w wadze czy opakowaniu przedmiotu nabywanego, bystre jego oko natychmiast spostrzega i prostuje. Za nadejściem pory obiadowéj, w prostych glinianych dwojaczkach, przynoszą mu w domu ugotowany posiłek, skromny, prosty, ale pożywny. Spiski siada, by zaspokoić podniecony pracą apetyt, ale baczne jego oko niemniéj nie przestaje czuwać, nad różnemi żądaniami zgłaszających się, bez względu, czy one wymagają towaru za 3 grosze lub kilkanaście dukatów. Skutkiem czego zniewolonym jest często odrywać się od swych skromnych dwojaczków, by pobudzić usługę sklepową do sprężystszego zajmowania się gośćmi, co chwila więc rzuca łyżkę lub widelec, wołając: Piotrze! Pawle! prędzéj, pan tu czeka, lub pani tam niezaspokojona.

Zabiegłość, czujność rozwijana przezeń, nie ograniczała się na zarządzie wewnętrznym; wszystkie promienie rozległego handlu jaki prowadził, kupiły się w jego umyśle; o wszystkich pamiętał, pojmując, że zaniedbanie jednego z nich, szkodliwie oddziała na inne. Zajęcie się tak czynne i bezprzestanne zawodem, który stał się jego udziałem, naturalnie wydawało odpowiednie wykładanéj usilności owoce. Majątek rósł z każdym rokiem, pomimo, że o ile był oszczędnym dla siebie samego, o tyle hojnym dla drugich.

Przypomnijmy sobie, iż młody Augustynek powędrował do Warszawy, pozostawiwszy matkę, z młodszem rodzeństwem pasujących się z niedostatkiem. W pocie czoła usposabiając się do stanu kupieckiego, zaopatrywany zaledwie w pierwsze potrzeby życia, nie zdolny był wspierać pozostałéj w Szkalbmierskim rodziny. Skoro jednak uzyskał pierwszą pensję, natychmiast połowę z niéj wysłał matce; uznając w poczciwem swem sercu, najmilszym obowiązkiem podzielić się z nią zapracowanym groszem. Myśl sama zmniejszenia niedostatku otaczającego ją, stanowiła dlań szczytną niebiańską roskosz. Następnie, pomimo uroku i ponęt jakimi zwykle krępuje wielkie miasto młodego człowieka, bez przerwy dzielił się z rodzeństwem, mozolnie pozyskiwanym dochodem. Skoro zaś wyszedł na właściciela sklepu, rodzinę przygarnął do siebie, zrobił uczestniczką dostatków rozumną pracą pozyskanych.

Dobroczynnéj swéj działalności nie ograniczał na zaspokojeniu potrzeb swéj familji; ludzkość uważał za jednę wielką rodzinę, zobowiązaną nieść sobie wzajemnie pomoc i poparcie. Wszędzie więc, gdzie sierota więdniał pozbawiony opieki, gdzie wdowa połykała łzy nędzą wyciśnięte, a nadewszystko gdzie indywidualność, zapowiadająca pożytek społeczności, dla braku środków, nie mogła rozwinąć swych zdolności — niósł czynne wsparcie.

W wielkotygodniowéj kweście odbywanéj w War-

szawie, z rzewną, budującą gorliwością, brał Spiski znakomity udział, wprawdzie nie zbieraniem ofiar, ale hojnem zasilaniem zbierających. Zwykle obchodził wszystkie kościoły w Warszawie, skromnie i cicho podsuwając na tace dukaty. Jednego roku w przedwielkanocnéj porze pozostawił fakt, wymownie posługujący ku nauce społecznéj. Jeden z jego chłopców sklepowych, skutkiem nieuwagi, zrobił szkodę, materjalnie nie wielką. Spiski, pragnący we wszystkich czynnościach uwagi i porządku, łaje chłopca, a w tem wchodzą panie, zbierające kwestę. Widząc właściciela sklepu surowo gromiącego pomocnika, za nie wiele znaczącą stratę, chcą się cofnąć, źle tusząc o sercu i uczynności jego, lecz Spiski w téj chwili chwyta z szuflady rulon 100 dukatowy i kładzie na tacę z najwdzięczniejszym uśmiechem, niejako wskazującym, iż pilnowanie własnego dobra, nie przeszkadza być dobroczynnym, lecz owszem mnoży środki skutecznéj dobroczynności.

Rozciągnęlibyśmy nad miarę nasz artykuł, chcąc dać choćby zarys codziennie wysnuwających się czynów téj natury. Jeden wszakże, jako próbkę innych, przywiedziem. Pewnego razu zdarzyło się, iż w sklepie Spiskiego zebrało się kilku wesołych młodzików, raczących się winem, i obchodzących wyraźnie jakąś uroczystość towarzyską. Wśród grona wszelako oddychającego roskoszą, jedna twarz zachowała posępność, i widocznie radość towarzyszy nie mogła jéj ożywić. Spiski, bystry spostrzegacz ludzi, baczną uwagę zwracał na młodego człowieka. Domyślając się, iż ważne powody kładą wędzidło naturalnie płynącéj wesołości, zapragnął je poznać. Ze zręcznością więc, uczuciem dobra bliźniego kierowaną, odkrył, iż ów smutek młodego człowieka, wypływał z niemożności złożenia pewnéj summy, stanowiącéj o jego przyszłości. Rozwinięta zręczność w wybadaniu, nie pochodziła z prostéj ciekawości, nazajutrz bowiem młody człowiek odebrał 5,000 złotych wraz z listem serdecznym Spiskiego, w którym pisze: „jak będziesz miał to oddasz, a jak nie będziesz mógł, to już jestem wynagrodzony dostatecznie roskoszą poczutą z usługi obecnie oddanéj.”

Skromne na szczupłéj widowni rozwinięte cnoty i zasługi, jakeśmy to już powiedzieli, były podstawą życia Spiskiego. Te to jednak cnoty a przedewszystkiem, rozumna praca, stanowią podwalinę szczęścia rozumu jednostek, jak i społeczeństw. Bez nich czczość, zmartwiałość ogarnie serce, wysuszy rozum. Poczucie téj prawdy odbija się w pojęciach odszkicowanego przez nas męża, który na naleganie jednego z przyjaciół, by jako człowiek zamożny oddał się wypoczynkowi, odrzekł: „Ale to niepodobna, mój panie; według mojego zdania, spoczynek i śmierć to jedno, ruch, działalność, to życie. Bóg tylko może znać spoczynek, człowieka udziałem pracować, pracować zawsze i bez końca, z tą tylko różnicą, że w młodości, kiedy ma siły odpowiednie inaczéj, w starości zaś przy braku tych sił znowu inaczéj. Czy pan widziałeś co w naturze, żeby żyło i spoczywało? co spocznie to i ginie; a ja mój panie niechciałbym ginąć jeszcze, i dla tego nie myślę spoczywać.” *Aleksander Adamowicz.*

REQUIEM MŁODÉJ PRZYJACIÓŁCE.

Obiecałem ci piosnkę na wesele twoje,
Uiszczam się— choć gody twe zwą się pogrzebem,
Choć na nich dla nas tylko kir, ból i łez zdroje,
Lecz tyś w bieli, tyś w kwiatach—śmierć, to ślub twój z Niebem.

Połączenie twéj duszy z jéj miłości celem,
Znalezienie w najmilszym szczęścia i opieki.
O! gdy to w krótkiém życiu świat tu zwie weselem,
Jak zwać, gdy się już w Niebie osiąga na wieki?

Duszo czysta! wionęłaś przez ten świat i życie,
Bez rany od ich cierniów, bez plamy ich cienia.
I uleciałaś w wieczność, jak w dziecka zachwycie,
Gdy na ojcowskiem łonie usypia w marzeniu.

O swych pięknych, swych miłych chwilach dnia, z nadzieją
Że się wnet znów do nowych i milszych obudzi,
A przecież, dość obaczyć te łzy, co się leją,
By poczuć, czem już byłaś dla twych bliźnich ludzi.

Kto cię znał, ten cię kochał—kochał dobro w tobie
A cóż jest podobniejsze anielskiéj zasłudze,
Jak Bogiem i dla Boga żyjąc tylko w sobie,
Promieniem dobrych uczuć świecić w serca cudze?

Pokój ci więc dziewico! A gdy ku padołom
Naszym zwróci twą duszę żalów naszych echo,
Proś tam, byś twym rodzicom i twym przyjaciołom,
I ztamtąd jak tu równą być mogła pociechą.

A. E. Odyniec.

CÓRKA RZEMIEŚLNIKA.

(POWIASTKA OBYCZAJOWA).

(Ciąg dalszy.—Patrz Nr. 30).

VII.

Po takiem zdarzeniu, pan Alfons bardzo rozsądnie uznał za rzecz niebezpieczną, dla ocalenia swych kości, odwiedziny na Tamce. Wzruszenie, jakie mu sprawiała wspominka Petrowego kija, położyło go na trzy dni w łóżko, lecz mimo to, intryżka raz poczęta przerwaną nie została. Jak zły duch, od łóżka chorego z przestrachu dandysa, do dworku na Tamce, krążyła pani Rajfurska, nosząc słodkie bileciki porozumienia się. Pan Alfons umiał pisać czule, panna Joanna odpowiadała mu podobnie, chociaż w obu tych listach, nie znalazłbyś za grosz sensu i ortografii. Mimo to, ułożono wieczorne spotkanie sam na sam, w ogródku państwa Maciejostwa. Spotkanie po godzinie dziesiątéj, bez wiedzy rodziców!

Dzień ten był dniem prawdziwéj męki i oczekiwania dla Joasi—drżąca cała i wzruszona, liczyła minuty: raz rada by już wieczór nadszedł jak najprędzéj, to znowu z przestrachem poglądając na stopniowe ubywanie godzin. Nareszcie słońce wspaniale zaszło; gwiazdy na słabo-błękitnem niebie migać zaczęły—pociemniało—spożyto kolację, wszyscy rozeszli się na spoczynek, i cichość sama zaległa Tamkę i stojący na niéj dworek. Joasia udająca dotychczas śpiącą, zarzuciła lekkie stroje, jakąś mantylkę, i przez okienko od swego pokoiku, cicho przemknęła się do ogródka. Była samą. Serce jéj biło tak gwałtownie, iż słyszała każde jego uderzenie. Drżące światło księżyca przez liście rozkwitłego bzu, słabo oświecało maleńki ogródek. Stopka spłoszonéj Joasi, co chwila trącała o rabaty kląbika, otrząsając z trawek perły rosy. Jednym razem o mało krzyk przestrachu nie wydarł się z łona dziewczęcia, gdy mantylka zaczepiona o ciernie krzaku róży, wstrzymała ją chwilkę. Biedny ten krzaczek, sadzony jéj dłonią, zdawał się zatrzymywać i przestrzegać płochą dziewczynę. O! czemuż to takich przestróg, które nam Opatrzność zsyła, nie słucha-

my! Ileż łez, ileż zgryzot i smutków, oszczędzilibyśmy sobie. Nie wyrzekajmy na losy, ale na siebie, boć mamy wolną wolę!

W rogu ogródka, przy parkanie, w którym mieściła się furtka, usypano z ziemi kopczyk, pokryto go darnią i ścieniono kilkoma krzakami bzu. Była to altanka i tam dążyła Joasia. Zaledwo siadła na rosą zmoczonéj darni, skrzypnęły zardzewiałe zawiasy furtki, i pan Alfons zestrachany, rozglądając się czy gdzie nie ujrzy wysokiéj postaci Petra z podniesioną laską, wsunął się cicho do altanki, i znalazł u boku drżącą Joasię. Biedna Joasia z całą wiarą i zaufaniem, spowiadała się z swoich uczuć panu Alfonsowi, który jéj słowa puszczał obojętnie mimo uszu; był bowiem trzpiotem, i żartował sobie w duszy ze szczerego uniesienia Joasi, odgrywając z nią rzeczywistą komedją. Rozmowa więc była czułą; — a Joasia nawet łzy miała w oczach, ale Alfons zwrócił nareszcie rzecz ku swoim widokom, to jest ku namówieniu dziewczyny do wyrwania się z pod opieki rodziców.

— Posłuchaj mię, mówił pan Alfons, tak zostać dłużéj nie może. Ja z powodu tego przeklętego Petra, trudno żebym tu bywał—a bez ciebie życie byłoby mi ciężarem.

— I mnie także! szepnęło dziewczę!

— Więc opuść ten dom!—zawołał dandys śmiało.

— Ja?! Rodziców?!. trwożliwie zapytała Joasia, nie!.. nie!.. to niepodobna!

— Ach! bo niekochasz mię,— mówił deklamując Alfons, gdybyś cokolwiek kochała, nie zdawałoby się to tak niepodobnem...

— Ależ panie Alfonsie—cóżby za przyszłość czekała mnie? pyta wzruszona dziewczyna.

— Przyszłość? najświetniejsza! Najprzód oddałbym cię w ręce pani Rajfurskiéj, z którą wyjechałabyś za granicę zaraz. Ujrzałabyś Wrocław... Berlin... Drezno... Paryż. Tam przyjechałbym ja i wiedlibyśmy życie najszczęśliwsze....


Spowiadała się z swoich uczuć,—(str. 248, szp. 1).
(Rysował Rudzki—wyciął Szymborski).

— A matka?... a rodzina?... szepnęła jeszcze nie przekonana Joasia, lubo nadzieja zobaczenia Paryża, słodko przesunęła się po głowie dziewczęcia.

— Matka? Po powrocie przebłagamy ją oboje, a tym sposobem unikniemy gwałtowności Petra, i przy tych słowach pan Alfons obejrzał się na wszystkie strony.

— Pomyślę... zobaczę... już nie pewna mówiła Joasia, może jutro...

— Nie, nie Joasiu, jeżeli mnie cokolwiek kochasz, to dziś..... dziś koniecznie. W ulicy czekają konie i powóz, który cię odwiezie do pani Rajfurskiéj, a od niéj zaraz na koléj, i jutro już będziemy zagranicą... Paszporta gotowe.... godzina się zbliża..... Joasiu wybieraj!

— Nie, pozwól mój luby... dzień jeden, niech się choć z matką napieszczę... tajemnie z domem pożegnam.

— Nie można..... jutro już będzie wszystko stracone!.... dziś i to za chwilę!

— Lecz czy nie zwiedziesz biednéj?!

— Możeszże wątpić?!... wszystko będzie jak najlepiéj... i otulał Joasię mantylką, całował jéj usta.... ocierał oczęta z których mimowoli płynęły łzy żalu za matką, domem gdzie się urodziła i wychowała.

Wolno, pociągając wyprowadził pan Alfons, dzieweczkę za furtę i zamknął ją starannie. O kilka kroków stał powóz, w który siedli nasi kochankowie, a stangret ruszył całym biegiem koni. Biały stróż anioł Joasi załamał w rozpaczy swe dłonie!.... Turkot powozu unoszącego dzieweczkę, spędził sen z powiek Petra; pani Maciejowa przewróciła się na drugi bok, z marzeniem o trzechtysięcznym zięciu, a pan Maciej czuł, że się topi w pełniutkiéj beczce bawara z browaru Schaeffera.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ŻEGLUGA NAPOWIETRZNA.

Kto z was nie uczuł zazdrości, na widok ptaka szybującego w powietrzu? Patrzcie na skowronka! Zaledwo słońce pierwsze swe promienie na ziemię rzuciło, podnosi się z bruzdy, bije skrzydełkami, pełną piersią rozpoczyna swe hymny poranne, i ulata z pieśnią coraz wyżéj, w przestworza wiosennego powietrza. Zazdrośnem okiem spoglądasz za tym skrzydlatym piewcą, i widzisz go już tylko jako muszkę czarną na bławatowym tle nieba, i jeszcze perłami tonów zlatuje do ciebie śpiewanie, gdy już sam śpiewak utonął w błękicie. Pierś rozpiera ci się wówczas szerokiem westchnieniem; chciałbyś, aby ci z ramion skrzydła wytrysły, abyś mógł wznieść się nad ziemią i razem z skowronkiem rozkoszować, kapiąc się w pierwszych promieniach ożywczego słońca i w balsamicznéj woni wiosennych oddechów. Dlaczegóż ja latać nie mogę? pytasz sam siebie ze smutkiem. Dlaczegóż człowiek, ma być przywiązany niewolniczo do powierzchni ziemi? Tak wołasz, a echem odpowiadają ci westchnienia w pieśniach ludowych: „Gdyby być skowronkiem!" „Gdyby być jaskółką!" „Gdyby orłem być!"

Podobne pragnienia wyrywały się z piersi człowieka, odkąd ludzkość istnieje. Fantazja ludów złożyła je w swoich powieściach i legendach. Grecy przypięli skrzydła do rąk i nóg przemyślnemu Hermesowi; Skandynawska Edda wymienia Widara, który chodzi po powietrzu; wschodnie powieści, przepełnione są cudownemi końmi z drzewa i kobiercami, na których rycerze, kochankowie i zaczarowani książęta długie podróże w powietrzu odbywali. Wszystko to jednak rodziło się i zostawało, w wyobraźni! Daremnie rozum wysilał się, aby urzeczywistnić te sny urocze; wiecznie do ziemi przykuty zostawał „syn ziemi."

W kolei wieków nadszedł wiek XVIII. Jak od

czasu do czasu przedtem, tak i z początkiem tego wieku pojawia się fantazyjny projekt napowietrznego okrętu Laurenta, pojawia się wreszcie młody ślusarz we Francji nazwiskiem *Besnier*, który sporządziwszy sobie rodzaj skrzydeł, chce się za ich pomocą unosić w powietrzu. Lecz i tym razem Laurenta projekt pozostał projektem; zaś Besnier mógł się tylko na ziemię spuszczać z pewnych wysokości. Ale i to małe zwycięztwo, zwróciło na siebie powszechną uwagę; żywiéj niż kiedykolwiek obudziło się w piersiach ludzkości pragnienie lotu, i niezadługo, bo z końcem zeszłego stulecia, ziścił choć w części te pragnienia, wynalazczy duch ludzki.

Było to roku 1782. Stefan *Mongolfier*, fabrykant papieru w Anonay we Francji, spostrzegł przy paleniu starych szpargałów, iż zapalone u brzegów torebki papierowe, unosiły się same w powietrze. To spostrzeżenie wzbudziło w nim pomysł balonu. Wnioskował on, iż jak kawałek drewna, choćby zanurzany w wodzie do góry się podnosi i pływa na powierzchni, tak i w powietrzu może się wznosić do góry jakiś lżejszy od powietrza gaz, ujęty w lekką powłokę. Przy owych torebkach papierzanych, było ogrzane wewnątrz powietrze lżejszem od powietrza zewnętrznego, i dlatego torebki unosiły się do góry.

Wniosek ten wydaje nam się dziś bardzo prostym i naturalnym; był on jednakże niezwykłym i jenialnym za czasów Mongolfiera. Podobnie jak Besnier, marzyli wówczas wszyscy o naśladowaniu ustroju ptasiego, i tylko w rozwiązaniu tego zadania, widzieli jedyną możność urzeczywistnienia swych pragnień. Mongolfier postawił atoli swym pomysłem, zupełnie inną *zasadę* badania, i to jest cechą jego jenialności.

Myśl powzięta dojrzewała. Już w listopadzie r. 1782 sporządził Mongolfier, wspólnie z bratem swym Józefem, balon w kształcie wielkiego worka, w którym, za pomocą palącego się papieru, rozrzedzili powietrze. Próba powiodła się jak najzupełniéj; balon podniósł się do wysokości 800 stóp i spadł w końcu na niedaleki wzgórek. Od téj chwili, zniknęły wszelkie wątpliwości; otworzyło się pole najśmielszym marzeniom i rozlicznym próbom, które też odtąd z gorączkową prawie szybkością po sobie następują.

Dnia 5 czerwca 1783, puścili wynalazcy w Anonay balon z płótna, który miał 35 stóp średnicy i ważył 450 funtów. Z dalekich stron zbiegli się ludzie, aby się przyjrzeć temu tak dziwnemu widowisku. Niedowierzanie na widok wiotko wiszącego woru znikło, gdy rozpoczęto palić pod balonem.



Olbrzymi balon Atlantyk.—(Wycięto w drzeworytni Wiedeńskiéj Waldheima).

Ściany jego się wytężyły, z nieopisaną siłą zerwał się on od ziemi i szybko a majestatycznie znikł przed oczyma patrzących. W 19 minutach wzniósł się do wysokości 7,200 stóp, poczem zaczęło powietrze w nim zawarte chłodnąć, a gdy temperatura, a tem samem i gęstość wewnętrznego i zewnętrznego powietrza przyszła do równowagi, usiadł znów balon na ziemi. Wypełniane ciepłem powietrzem balony, które od ich wynalazców *Mongolfierami* nazwano, zaczęto następnie puszczać razem z przytwierdzonem u spodu ogniskiem, aby źródło ciepła nie prędko ustawało, przywiązywano do nich również znaczne ciężary, i wszystkie te próby szły jak najpomyślniéj.

Dowiedziawszy się o pierwszych próbach Mongolfierów, wpadł professor *Charles* w Paryżu na inny pomysł. Znanym już był wówczas w laboratorjach chemicznych *wodór*, t. j. ów gaz, który razem z *tlenem* (kwasorodem) wodę tworzy, i który jest $13\frac{1}{2}$ razy lżejszy od atmosferycznego powietrza. Zasada balonu wymagała, aby wnętrze jego było napełnione lżejszem powietrzem niż atmosfera, więc Charles umyślił sporządzić balon i wypełnić go wodorem. Próba odbyła się na placu Marsowym w Paryżu, w obec niezliczonych tłumów. Średnica balonu wynosiła tylko 12 stóp, a cały ważył 21 funtów; podniósł się przecież na 3,000 stóp i zniknął za obłokami. We trzy kwadranse późniéj, spadł ten latawiec o 5 mil od Paryża we wsi Gonesse. Mieszkańcy tamtejsi nie słyszeli nic o balonach, wielkie ich więc ogarnęło przerażenie, gdy ujrzeli taki potwór w powietrzu. Najrozumniejsi utrzymywali, że to jakiś zamorski ptak drapieżny, lecz drudzy twierdzili uporczywie, że to Antychryst, podczas gdy inni wołali, że to księżyc spada na ziemię. Tymczasem balon zniżał się coraz bardziéj; trwoga mieszkańców nie miała granic: wszyscy razem pobiegli do proboszcza, aby go zawiadomić o tem dziwnem zjawisku. Postronnemi ścieżkami udał się poczciwy pleban na łąkę, gdzie balon już leżał, i częścią od wiatru, częścią od zawartego w nim jeszcze gazu tarzał się pośród trawy. Chodziło o to, aby tego czarta zażegnać, pokropić wodą święconą, i przynajmniéj z własnéj wsi wypędzić. Nikt nie miał jednak na tyle odwagi, aby podejść blisko. Nareszcie znalazł się najodważniejszy; z flintą w ręku podsunął się nieco i strzelił... Zwycięztwo! Potwór został w sam brzuch ugodzonym, gaz począł z szumem uchodzić, a objętość balonu nagle się zmniejszała. Gonesczycy przekonani, że Antychryst śmiertelnie raniony, rzucili się dopiero na niego z cepami, widłami i drągami i dalejże okładać! Siarkowy zapach nie całkiem czystego wodorodu, utwierdził ich w mniemaniu, że mają z czartem do czynienia, i zagrzewał ich ciosy. Po chwili, były już tylko podziurawione i poszarpane szczęty z mozolnéj pracy paryskiego profesora, a i te jeszcze przywiązano koniowi do ogona i wleczono po łące. Gdy Charles w kilka godzin przybył na miejsce, niebyło już co zbierać.

Tym sposobem przeszedł nowy wynalazek przez ogniowy chrzest przesądów, zapowiadał bliskie zaspokojenie odwiecznych pragnień człowieka. Czyż bowiem nie mógłby człowiek wznosić się balonem do góry, skoro lot jego jest tak pewny, spadanie na ziemię tak łagodne? Podróże nadpowietrzne, zdawały się być rozkoszą najbliższéj przyszłości.

Poczęto znów robić próby. Mongolfier puścił w Wersalu, w obliczu króla Ludwika XVI, wielki balon z pierwszymi nadpowietrznymi żeglarzami, gdyż w przytwierdzonéj u spodu łodzi, pomieszczono jagnię, kaczkę i koguta. Balon wzniósł się na 1,500 stóp i po 8 minutach spadł nieopodal tak łagodnie na ziemię, iż pomieszczone w nim zwierzęta, najmniejszego nie doznały wtrząśnienia. Jakkolwiek zadowalniającym był ten rezultat, wahał się jeszcze człowiek oddać siebie na wolę wiatrów i woskowéj kitajki balonu. Czasem tylko puszczano balony na sznurkach na 200 do 300 stóp wysokości, gdy odważni siadali do łodzi.

Miałże więc na braku zuchwałéj odwagi zatrzymać się wynalazek? Gdzie tam! znalazła się ona aż nadto prędko i było jéj aż nadto wiele.

(*d. c. n.*)

SOSNA.

Drzewo to, należące do rodzaju iglastych, wiecznie zielone, najpospolitsze i rzec można niezbędne jest u nas. Czem chleb w pokarmach, tem sosna w gospodarstwie naszem, niewybredna w roli, rośnie na gruncie piasczystym, suchym, lekkim, rozradza się łatwo i hojnie, niby nasi wiejscy mieszkańcy, do koła opuszczając na ziemię nasienie. Wysokość sosny dochodzi do 70 łokci i bywa znakomitéj grubości.

Szpilki sośniny, jak to pokazujemy na rysunku, niezbyt są gęste; dla tego korona drzewa nie bardzo jest cienista i po latach trzech lub czterech, szpilki żółkną i opadają, gdy tymczasem corocznie na nowych pędach czyli latoroślach, nowe szpilki przybywają, i dla tego to sosna jest zawsze zieloną, a lud wiedząc o tem, mawia nieraz żartem: to a to ci zrobię, jak choina przestanie się zielenić, lub: „prędzéj choina z lasu spadnie, niż moje szczęście wróci.”

Sosna kwitnie w końcu maja lub na początku czerwca; w czasie kwitnięcia kotki czyli bazie mają kolor siarkowo-żółty, z przyczyny pyłku kwiatowego, który deszczem spłukany obficie spływa po wodzie deszczowéj; ztąd też urosły mylne powieści o deszczu siarczystym. Kotki te są samcze i samicze, tamte były samcze, a samicze są w kwitnięciu czerwone, podniesione do góry, a po okwitnięciu zwieszone na dół, zielenieją i zamieniają się na szyszkę. Przez zimę, dojrzałe w drugim roku, szyszki zazwyczaj po dwie wiszą nad gałązką i na trzecią zaś wiosnę po okwitnięciu, zaraz po ociepleniu, łuszczki szyszek otwierają się, a nasienie, to jest, małe orzeszki, ze skrzydełkiem błonkowem, wylatują, które wiatr często daleko unosi dla rozmnożenia ich. Po wypadnięciu nasienia, łuszczki szyszek znowu się stulają, szyszka zamyka się i zostaje na drzewie jeszcze przez czas niejaki, a potem odpada.

Widzimy więc, jak sosna rozmnaża się łatwo z nasienia przez wiatr unoszonego; lecz gdzie jest grunt zdarniony, lub gdzie nie ma w bliskości starodrzewu, tam trzeba nasienie zebrać i z ręki wysiać. Najstosowniejszą porą do zrywania szyszek sosnowych jest zima, od początku grudnia do końca marca. Po mrozach nasienie łatwiéj się wyłuskuje, późniéj zbierane szyszki często są puste, bo zaraz z wiosny zwykle roztwierają się i nasienie wylatuje. Zebrane szyszki przechować należy w miejscu przewiewnem i suchem, aż do czasu wysiania.

Sosnę zasiać można albo całemi szyszkami, albo nasieniem czystem. Do zasiewu szyszkami, dość jest

ziemię bronami zdrapać, szyszki po niéj porozrzucać, a potem poruszać je często grabiami, aby nasienie wypadało; albo też ziemię poorać w bruzdy, w nie rozsiać szyszki, a następnie często poruszać. Wyłuskiwanie szyszek odbywa się albo w suszarniach ogrzewanych ogniem, albo w suszarniach słonecznych, albo w izbach mieszkalnych. W suszarniach słonecznych wyłuskują się szyszki przez wystawienie ich na ciepło słoneczne, w skrzyniach płytkich, przez skrapianie ich i częste potrząsanie. W izbach wyłuskują szyszki w ten sposób: napełniają się wory niezupełnie szyszkami dobrze skropionemi, zawieszają się na grzędach w cieple przy piecach. Codziennie potem kilka razy należy wstrząsać worami, tak, aby wszystkie się szyszki poruszyły, przez co nasienie na spód worka opada. W kilka dni wysypują się szyszki z worka, wybiera się nasienie i wynosi na poddasze, aby tylko myszy i ptastwo go nie niszczyły; szyszki na nowo skrapiają się wodą, zsypują w worek i podobnym sposobem wyłuskiwanie daléj się prowadzi, dopóki się w zupełności nie wyłuszczą.

Sosna w młodości rośnie sporo, nie potrzebuje ochrony od wpływu światła i powietrza, a nawet od trzeciego roku nie znosi już cienia. Rosnące w gąszczach sosny wcześnie się oczyszczają z dolnych gałęzi, które dla utrudzonego przystępu światła i powietrza więdnieją, usychają i opadają, a miejsce ich przyczepienia zarasta tak, że nawet śladu nie zostaje. W ścisłem zwarciu, długo rosnące sosny zupełnie są gładkie, gałązki zostają u samego tylko wierzchołka. Po 40-tu latach sosna mniéj pędzi w górę, a więcéj się rozrasta w gałęzie; wtedy drzewka wyższe przytłumiają niższe obok stojące, które z tego powodu tępieją we wzroście, więdną, a nawet wysychają i tym sposobem las się przerzedza. Takie drzewka uschłe i usychające należy wycinać i mieć z nich użytek bez uszczerbku lasu.

Sosna pojedynczo rosnąca, zwykle rozgałęzia się więcéj niż rośnie w górę; w 20-ym roku wydaje już nasienie, w 60-ym roku obradza. W 120-ym roku dochodzi sosna zupełnéj dojrzałości, rośnie jednak do 200 lat i więcéj.

Lasy sosnowe zowią się borami; młode sosny cierpią zaraz od zbytniego cienia, a przygryzona przez bydło i zwierzynę zarośl, nie może już wyrość na proste, wysokie drzewo. Owady, gąsienice, ćmy, objadają szpilki, przez których utratę, drzewo usycha. Drzewo to podlega także różnym chorobom; gdy wierzchołek usycha z wady gruntu, choroba taka zowie się *obar;* gnicie od pnia zowie się *murszem;* gąbka na korze czyli grzybek dowodzi murszu wewnątrz, chociaż napozór, z wierzchu sosna żadnéj wady nie ma.

Użytki z sosny są bardzo rozmaite i bardzo ważne; należy też drzewo to do najużyteczniejszych w naszym kraju; zdatne jest na maszty, belki, bale, tarcice; jest ona łupkiem, ciągłem, niezbyt się paczącem, ani bardzo pękającem drzewem. Pod wodą jest wytrwała, szczególniej gdy rdzeń mocno przejmie żywica. W budownictwie więc lądowem i wodnem, sosna dla tych własności obszerne ma zastosowanie, i staje się ważnym towarem handlu wywozowego, będąc dobrą na opał, pali się bowiem płomieniem żywym, jasnym i dając wiele ciepła, mało zostawia żaru i ten prędko wygasa; węgli używają w hutach i kuźniach i uważają je za lepsze od innych. Korzenie zostające w ziemi po ścięciu drzewa przez czas niejaki, przesiąkają żywicą, wydając karpię smolną, z któréj wypala się wyborna smoła, a lud wiejski używa ich na drzazgi czyli łuczywa, podczas długich zimowych wieczorów. Młodych korzeni, jako giętkich, używają do robót wyplatanych.

Dwa są gatunki sosny przyswojone u nas: *Sosna Karpacka* czyli *linba*, pochodząca z gór południowéj Europy i różniąca się od sosny pospolitéj tem, że ma 5 szpilek w jednéj pochwie, szyszki w kształcie jajka, podniesione i większe, a nasienie klinowate bez skórkowego skrzydełka.

Sosna zwana *Amerykańską*, ma w pochwie 5 szpilek do 3-ch cali długich, i szyszki w kształcie walca dłuższe od szpilek—i tem się różni od sosny pospolitéj u nas.

Bory sosnowe w kraju naszym, jakkolwiek jeszcze nie bardzo wyniszczone, stanowią jednakże wielką różnicę z tem, co było. Któż ich nie lubi, tych pięknych borów sosnowych zieleniejących i szumiących tak uroczo z bliska, a modrzących się z daleka, niby olbrzymie pasy między ziemią i niebem? Któż ich nie lubi, mówimy, lecz jak wielu zapomina, że te obszary lasów z czasem się przebrać mogą, gdy ich nie uszanujemy, gdy lekkomyślnie skazywane będą na spekulację arendarzy i chciwych zysku ludzi? Lud lubi rozmawiać z sosnami tak jak z otaczającemi go innemi drzewami; dorodnego młodziana porównywa do prostéj, wyniosłéj sosny; do stojącéj w polu samotnie sosny, wiejski mieszkaniec śpiewa z tęsknotą:

„Héj na polu sosna wieje,
Do kochania serce mdleje." i t. p.

Józef Grajnert.

O TAKSIE.

Wiadomo już czytelnikom naszym, iż w ubiegłym miesiącu spełniły się dwa bardzo ważne ekonomiczne wypadki, dotyczące dwóch nader rozgałęzionych rzemiosł: piekarzy i rzeźników. Taksa na chleb i mięso została zniesiona. Ogół naszéj ludności przyjął ten środek władzy, z pełnem troski oczekiwaniem. I nie bez słuszności się troskano, donosłość bowiem téj zmiany wielka, zuwagi, że chleb i mięso to dwa artykuły życia, zarówno obchodzące bogatego jak i biedaka. Władza nawet zawiesiła nad piekarzami i rzeźnikami jak miecz Damoklesa powrót do taksy, jeżeliby ci procederzyści zbyt wygórowane, stawiali żądania. Z wielkiem jednak możemy wyznać zadowoleniem, że dotąd ani publiczność ani władza, a zapewne i sami procederzyści nie mogą się skarżyć na dokonaną przemianę. Prawda, pierwszych dni po zniesieniu taksy, chleb i mięso podskoczyły w cenie, ale następnie mianowicie mięso, nietylko że się w podwyżce nie utrzymało, ale znaleźli się rzeźnicy, którzy taniéj sprzedają nawet niż sami się zadeklarowali. Przytem niekrępowani przepisami taksy, sprzedają lepsze gatunki mięsa drożéj, gorsze taniéj, z niemałem zadowoleniem biedniejszych którzy wolą gorsze nieco, a tańsze mięso. Nareszcie zauważyliśmy też daleko większą grzeczność, w traktowaniu kundmanów, co jest już błogim wpływem dobrze zrozumianéj konkurencji. Zwracamy nawet uwagę naszych czytelników, na ogłoszenie przez Prezydenta miasta, nazwisk tych procederzystów; publiczność bowiem winna ocenić ich usiłowania liczniejszą

klientelą. To obudzi emulację szlachetną i poprze ową konkurencyję swobodną.

Zniesienie taksy jest wypadkiem bardzo ważnym i rzeczą nie łatwą. Taksa jest jeszcze zabytkiem urządzeń średniowiecznych dla rzemiosł. Gdy cechy istniały w całéj swojéj sile, ze wszystkiemi ograniczeniami, oznaczano o pewnym czasie ceny na ich wyroby. Należało to albo do starszych cechowych, albo do radnych magistratu. Sprzedaż mianowicie produktów do życia, należała do nadzoru władzy, i taksa przez magistrat po miastach a wójtów po wsiach oznaczaną była. W końcu zeszłego wieku we Francji zniesiono naprzód cechy, a zatem i taksę, przez co zapewniono wszelką swobodę pracy. Mimo jednak wilkiéj śmiałości, Zgromadzenie prawodawcze francuzkie nie mogło się odważyć na zniesienie taksy na chleb i mięso, tudzież tego monopolu piekarzy i rzeźników, na mocy którego istniała ich tylko pewna ograniczona ilość. Zostawiając taksę popełniono wielki, wielki błąd, bo uważano chleb i mięso za jakieś inne towary, niż te które wolno każdemu bez taksy sprzedawać. Dopiero rząd cesarza Napoleona w 1856 r. zniósł w Paryżu monopol rzeźników i piekarzy ograniczający ich liczbę, a póżniéj i samą taksę. Co do nas, taksa zaprowadzoną została za pruskich rządów i dopiero teraz władza, zapatrując się na dobre skutki ze zniesienia taksy w mieście Moskwie wypływające, i u nas takowe wadliwe urządzenie usunęła.

Po tak dobrych początkach, jakie widzimy u nas, spodziewać się trzeba, iż oba fachy piekarski i rzeźnicki, w dobrze zrozumnianym swoim interesie, dążyć będą na drodze postępu i ulepszeń. Od piekarzy żądamy lepszego pieczywa, cena bowiem jak to wykazały obliczenia odnośnie do ceny zboża, dość jest niska. Rzeźnikom zaś życzymy większego porządku w utrzymywaniu jatek i większéj zabiegliwości w kupowaniu jak najtańszych wołów.

Adam Wiślicki.



Sosna.—(str. 250, szp. 2).
(Rysował i wyciął na drzewie Kazimierz Kuczyński).

ROZMAITOŚCI.

— Zwróćmy uwagę na jakibądź kwiat, pełen swego rozwoju, a dostrzeżemy, że proszek najczęściéj żółty, który był wystąpił od nitek we środku kwiatu znajdujących się, porozpraszał się na wszystkie jego części. Ten to pyłek w kwiecie, nazywamy pyłkiem nasiennym. Wiatr jak i owady, roznoszą także ten proszek na różne strony a nawet i daleko, tym sposobem stają się mimowoli ogrodnikami, gdyż zasiewają taką samą roślinę, do jakiéj ten proszek należał. Ten to pyłek z sosen, jodeł naszych, z wodą spadłych na ziemię, uważa wiele osób za deszcz siarkowy.

Zatrząś leszczyną w czasie jéj kwitnięcia, a zobaczysz jakby parę gęstą, żółtą, unoszącą się w powietrzu, która następnie w małem oddaleniu od miejsca, opadnie.

Przy wschodzie słońca, widzimy często na naszych obsianych polach jakby mgłę pachnącą: otóż to jest wznoszący się pyłek nasienny kwitnącego żyta.

Czyście nie podziwiali prześlicznéj białości lilji i napruszonéj proszkiem żółtym?—jest to pyłek zapładniający!

Szczypta takiego proszku miałkiego, pod drobnowidzem, przedstawia się nam jako złożona z cudnie pięknych jajeczek, które w przyjaznych im okolicznościach, wydają roślinę, taką samą z jakiéj pochodzi ów pyłek nasienny.

— W Odessie od niejakiego czasu zamieszkuje pewien cudzoziemiec, artysta w swoim rodzaju. Zapomocą scyzoryka, wyrzyna on z jarzyn kwiaty i układa z nich całe bukiety. Powierzchowność tych bukietów, pod względem postaci i barwy, tak zbliżona jest do natury, że jeszcze nie było nikogo, któryby nie został zwiedziony. Z kartofli wyrabia białe kamelje i róże; z buraka, róże i kamelje czerwone; marchew, rzepa, pietruszka, wszystko to rzeczywiście do niepoznania przeobraża się w składzie pysznych bukietów. Na jednym arystokratycznym balu, goście mile zadziwieni byli widokiem wspaniałych kamelji, zdobiących szeregiem całe schody od dołu do góry, a wtenczas w całem mieście kwitło tylko dziewięć kamelji. W miejsce zapachu, bukiety warzywne posiadają trwałość, i mogą być świeżemi przez całe dwa tygodnie.

— O psach ratujących ludzi, wszyscy niemal wiedzą; przypadki takie częste. Ale o innych zwierzętach domowych, wybawiających ludzi od śmierci, rzadko usłyszeć się daje. A najmniéj o kotach, o których wyrobiło się przekonanie, że one nie przywiązują się nigdy do osoby, tylko do miejsca. Zdarzenie jednak przed kilkoma tygodniami, zaszłe w Belgji wprowadza i w téj regule wyjątek. Na wsi, mieszkał pewien obywatel z sześcioletnim synem. W ogrodzie pałacowym, płynęła rzeczułka. Razu jednego nad brzegiem wody, bawił się ów chłopczyk z dużym kotem angorskim. Z jednego brzegu rzeczki na drugi, był mostek na pontonach. Dziecię z kotem biegało po mostku, naraz chłopczyk wpadł do wody. Kot poskoczył, położył się na mostku, chwycił pazurami za odzienie dziecka i przeraźliwym miaukiem krzyczał o pomoc. Pracujący w pobliżu ogrodnik, usłyszał rozpaczliwe miauczenie, przybiegł na pomoc i wydobył chłopca, utrzymywanego ciągle na powierzchni wody przez kota. Wypadek ten świadczy, że kot przywiązać się może do człowieka.

— Życie człowieka jest krótkim dniem grudniowym: nasze uciechy są prawdziwie okruchami istnéj radości; nasze wspomnienia rajem utraconym; nasza miłość wieczną tęsknotą; nasza młodość wiatrem wiosennego westchnienia.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 21 Lipca (2 Sierpnia) 1865 r